

# Jan Kłys

---

## Listy do mego synka

---

Studia nad Rodziną 4/1 (6), 155-166

---

2000

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Jan KŁYS

## LISTY DO MEGO SYNKA<sup>1</sup>

### 1. Obywatel świata

Usnąłeś wreszcie, mój Maleńki! A tak długo się przed tym bronieś. Szereko otwierałeś klejące się oczka, z uporem dźwigałeś coraz cięższą główkę. Nie chciałeś się wyłączyć z urzekającego Cię świata. W końcu uległeś.

Pierwsze poddały się nóżki. Potem podniosłeś łapki i zacisnąłeś w piąstkę ruchliwe paluszki. Długie rzęsy zamąciły Ci pole widzenia i zabrały resztkę światła. Ogarnęło Cię wielkie uspokojenie. Już nie walczysz, leżysz cichutko. Różowy od snu, oddychasz rytmicznie. Uśmiechasz się do swych maleńkich marzeń, do świata, którym na razie władasz niepodzielnie.

Patrzę na Ciebie i staram się coś odczytać z wyrazu twej bródki, nieświadomie poruszanej instynktem ssania. Zdziwiasz mnie. Jesteś przecież najedzony i brzuszek masz pękaty od wypitego mleka, niemniej śpiąc składasz usteczka do przyjęcia pokarmu, jakbyś nie chciał wyjść z wprawy; jakbyś się bał, że zapomną o Tobie przy podziale dóbr tego świata.

Chyba jest Ci dobrze. Nic Cię nie boli, jest ciepło i sucho, otacza Cię nasza miłość. Cieszymy się, gdy zasypiasz i pozwalasz nam się zająć własnymi sprawami, ale z radością witamy każde twoje przebudzenie. Towarzyszy Ci nasz uśmiech. Nie rozumiesz go jeszcze, lecz się nim sycisz. Wiem o tym, widzę, jak reagujesz na zmianę naszych nastrojów. Jesteś bezpieczny tylko wtedy, gdy czujesz, że Cię kochamy.

---

<sup>1</sup> Tekst, który prezentuję, pochodzi z moich archiwalnych zasobów. Jest fragmentem książki przygotowanej pod takim właśnie tytułem w 1967 r. Składała się ona z wątków osobistych inspirowanych szersze rozważania na temat sytuacji dziecka w ówczesnej Polsce. Myśli wyrażone w formie listów towarzyszących pierwszym dwóm latom życia mego Syna, były potem merytorycznie analizowane i dokumentowane w poszczególnych rozdziałach poświęconych tematyce społecznej, gospodarczej i kulturowej rodzicielstwa. Listy ją zapowiadały i ujmowały przez pryzmat autentycznych doświadczeń zwyczajnej rodziny.

Ze względów cenzuralnych książka nie ukazała się. W zmienionych realiach straciła swoją aktualność. Pozostały jednak listy o randze świadectwa.

Postanowiłem nie zmieniać w nich niczego. Tak było naprawdę. Mogą to dziś jeszcze potwierdzić nasi Przyjaciele. Niech więc przed tylu laty napisane słowa pozostaną najszczerzym wyznaniem.

Podtytuły zostały zaczerpnięte z książki i prezentują jej układ. Sądzę, że pomogą Czytelnikom prześledzić tok zamieszczonych wspomnień i przywoływanych nimi problemów. Trudności nie rozpląnęły się i nigdy pewnie nie znikną. Różnicuje się tylko w czasie ich kontekst.

Takiś słaby i bezbronny, zdany na naszą łaskę i niełaskę. A jednak stoczyłeś już swoją pierwszą walkę i wyszedłeś z niej zwycięsko. To była najważniejsza potyczka. Jej stawką byłeś Ty sam.

Przeciw sobie miałeś niemal wszystko: mądre racje gospodarcze, ludnościowe i socjalne, złowrogą opinię publiczną i cały arsenał środków, jakimi dysponuje współczesna technika medyczna. Nie chciano uznać twych obywatelskich uprawnień. Traktowano jak intruza, który chce się dopchać do skąpo zastawionego stołu. By Cię skazać, sięgano do szczytnych haseł postępu, humanitaryzmu, odpowiedzialności społecznej i politycznych pogroźek.

Nie mogłeś przemówić w swej obronie. Niczego nie mogłeś się domagać. Twoją szansą było tylko to, że byłeś i że od początku rozpoznaliśmy w Tobie niezasłużony Dar. Ale niezbyt to widać mocna szansa. Rokrocznie przegrywa ją w Polsce tyle twoich braciszków i siostrzyczek. Ty wygrałeś – czy potrafisz to w przyszłości docenić?

No i co Ty na to, mój Małeńki? Chyba złą sobie wybrałeś porę, żeby się począć. Nawet się nie domyślasz, jak bardzo Cię nie chcą na niegościnnym świecie.

Pogrążony w niewiedzy, nie dostrzegasz jeszcze nieprzyjaznych spojrzeń, którymi obrzucają twój wózeczek. Ufnie patrzysz na przechodniów i wyciągasz do nich rączki, ale mało kto zwraca uwagę na ten gest. Za dużo zgromadzono przeciw Tobie argumentów. Uśmiechem nie rozbroisz gniewnych sędziów, nie rozproszysz ich posepnych myśli. Dawno udowodniono Ci winę. Jesteś – po cóż szukać dalej?

Twój proces rozpoczął się pierwiej, nim się wyzwoliłeś do samodzielnego życia. Nie myśmy Cię, Synku, oskarżali. Publiczny wystąpił prokurator. Domagał się twej śmierci lekarz w Ośrodku, podjudzało na Ciebie otoczenie. Jazgot fałszywych świadków towarzyszył Ci nawet na sali porodowej. Zrobiono wszystko, by nas do Ciebie zniechęcić. „Potrzeba pani było? Mało jest na świecie bachorów?”. To była Twoja i nasza droga krzyżowa. A Tyś milczał. „Nic nie odpowiadasz na to, co Ci oni zarzucają?” (Mk 14,60).

## 2. O miejsce we własnym kraju

Nie jesteś pierwszy, Syneczku, w naszym bardzo ciasnym gniazdku. Zналиśmy już radości, niepokoje, trudy, jakie nam przyniosło Twoje rodzeństwo. Nie brak nam było doświadczenia, nie oczekiwaliśmy przy Tobie samych uniesień. Wiedzieliśmy nazbyt dobrze, że rodzinne szczęście jest przedziwną syntezą wysiłków, zmęczenia, rezygnacji i ciągłego wyboru – na rzecz dzieci.

Jak więc się to stało, że gdy się tylko zapowiedziałeś, przesłoniłeś wszystko wielkim oczekiwaniem, adwentowym przecuciem nadchodzącej Gwiazdki? Może ujęła nas cisza twego ukrytego życia? Może byłeś kluczem

naszych tajemniczych marzeń? A może Darem posiadającym moc rozszerzenia naszych serc?

Nie umiem na to odpowiedzieć. Sobie tylko właściwym sposobem znalazłeś skupić całą naszą gromadkę wokół siebie i stałeś się jej rzeczywistym ośrodkiem. Nic się niby na zewnątrz nie zmieniło. Nadal była praca, zabieganie, codzienne domowe utarczki. A jednak – byłeś Ty – ledwie jeszcze widoczny w zmienionym zarysie kształtów, ale już obecny pośród nas – jak znak Łaski. Uciszałeś nas, Maleńki, swoją obecnością. Przywracałeś zagubione proporcje. Nawet twój Braciszek i Siostrzyczki, zwykle tak żywiołowi, cichli na myśl o Tobie, jakby bały się Cię zbudzić.

Nadszedł potem czas próby. Już nie mogłem Cię dłużej osłaniać i bronić przed brutalnością świata. Ty sam musiałeś zdać swój pierwszy egzamin dojrzałości.

Odwoziłem Was w środku nocy pełen troski o wynik. Cóż z tego, że się uśmiechałem i demonstrowałem spokój? Chciałem Wam dodać otuchy, lecz ja, Synku, nie byłem spokojny. Rzuciłem na szalę wszystko, co miałem na ziemi najdroższego, i po ludzku rzecz biorąc byłem bezsilny. Mogłem tylko prosić i ufać. Wtedy właśnie zdobywałem dla Ciebie ewangeliczne talenty.

Przedłużał się egzamin. Wiedziałem, że byłeś zmęczony. Zbyt często pochylały się nad Tobą stetoskopy. Nieudolny kamuflaż zdawkowej informacji zaostrzał tylko szarpiący mną niepokój. W takich chwilach człowiek dostrzega wszystko w przeraźliwym skrócie. Kiedy sięgnąłem dna – po raz pierwszy zapłakałeś.

„Ma Pan syna!”

Potem rozpierająca, euforyczna radość i czające się jeszcze resztki niepokoju, i wdzięczność, niezrównane „Magnificat”. Triumfalny marsz do sklepów po kwiaty, po owoce, i jeszcze nieprzytomny list, pierwsza rozchwiana odpowiedź, i alleluja!

Tydzień codziennych wizyt, termosy, bawarki, uśmiechy salowych i wyciągnięta ręka portiera, pierwsze ubranko i przywieziony do domu posapujący przez sen tłumoczek. To byłeś Ty.

### 3. Migający płomyk

Zawiozłem do kliniki małe łaszki. Długo Cię przystrajano na pierwsze nasze spotkanie. Potem otworzyły się szklane drzwi i włożono mi Ciebie w ramiona. Nie widziałem Cię dokładnie. Spałeś. Nie chciałem Cię przy obcych oglądać. Patrzyłem tylko, jak pulsowała żyłka na twojej skroni i niespokojnie drgały małe usteczka.

Jeszcześmy się nie poznali, a już musiałem Cię osłaniać przed mroźnym, grudniowym powiewem z uchylonych okien samochodu. Bałem się, czy Ci nie jest duszno w zwojach spowijającego Cię koca. Niosłem Cię jak coś nie-

zmiernie kruchego, choć doprawdy nie zdawałem sobie z tego sprawy, jaki jesteś malutki. Długi becik przydawał Ci wzrostu i chronił przed skłopotaną niezręcznością moich dłoni. Położyłem Cię w białym łóżeczku. Wtedy dopiero mogłem Ci się przyjrzeć. Odgadywałem twoje rysy i odnajdywałem w nich znane mi, najdroższe kształty.

Nie wiem, czy jesteś ładny. Jesteś nasz! Akceptuję Cię całego, jakim byłeś, jesteś i będziesz. Ty mój Synku! Podzieliliśmy się z Tobą własnym życiem. Nie, to jeszcze inaczej. Zamknęliśmy je w Tobie. Odtąd żyjemy rytmem, jaki Ty nam wyznaczasz.

Zaniósłem Cię twojej Mamie, by Ci zmieniła pieluszki. Onieśmieliłeś mnie wtedy do reszty. Leżałeś przed nami, całkiem bezradny Plastuś, z dużym lebkim, sporym brzuszkiem i splątanymi patyczkami rączek i nóżek. Sam nie byłeś ich w stanie rozprostować. Trzeba Ci było pomóc. Długie, wąskie paluszki wyginały Ci się do tyłu, gdy otwierałeś zaciśnięte piąstki.

Nie darłeś się jeszcze beznadziejnie. Kwiliłeś tylko i niecierpliwie kręciłeś główką, zanim Cię ogarnęło słodkie ciepło pokarmu. Zasympiałeś wtedy od razu – czasem tak głęboko, że przestawałeś sen. Wystarczyło jednak, żeby się Mama poruszyła, a znów rzucałeś się spazmatycznie do jedzenia, wcale się przy tym zresztą nie budząc. Kiedy wreszcie byłeś pełny, trzeba Cię było unieść pionowo do góry, żeby wszystko spłynęło do brzuszka. Potem mogłeś już spać, spokojnie i głęboko, jak potrafi zdrowe, suche, najedzone niemowlę. To były nasze chwile odpoczynku.

Przenikała nas twoja cisza. Równy oddech i błogi wyraz twojej buzi były nam zapłatą za wszystkie poniesione trudy. Rosłeś w nas, mój Maleńki, przykuwałeś do siebie nasze myśli i serca. Byłeś wszędzie, w przyciszonych rozmowach Dzieci, w stąpieniu na palcach, w starannym zamykaniu drzwi, w brzęku wyparzanych butelek. Twój zdrowy sen dodawał nam siłę, by Cię otaczać uśmiechem. Włączyłeś w nas nowe źródła energii i tak nastawiłeś na siebie, że przy najlżejszym twoim poruszeniu zrywaliśmy się ze zmęczonego snu i ściągaliśmy natychmiast do twego łóżeczka. Bywało, że przesympialiśmy dźwięk budzika. Nie zdarzyło nam się jednak zasnąć wtedy, kiedyś nas potrzebował. Byliśmy oczywiście znużeni, ale nie napięci. Nie szarpaliśmy się między chęcią zarezerwowania własnych spraw a tym, co trzeba było dać Tobie. Dlatego w całym zabieganiu i mozoł dniu Ty byłeś czynnikiem równowagi, bo miałeś prawa, którym przyznaliśmy pierwszeństwo. Dobrze nam było z Tobą, byliśmy szczęśliwi.

Ale przyszły także złe dni, gdy zmącił się rytm twego oddechu, gdy płakałeś żałośnie i rzucałeś niespokojnie rozpaloną główką. Kiedy tak walczyłeś z nękającą Cię chorobą, nie było w nas spokoju. Towarzyszyliśmy Ci pełni tłumionego lęku. Jakiś cień wpętał w naszą gromadkę i trwał, póki nie wracałeś do zdrowia.

Aż raz nastął dzień, gdy zawiodły podawane Ci lekarstwa. Beładnie leciałeś przez ręce, nie miałeś już sił, żeby płakać. Jak rzucona na piasek rybka, łapałeś powietrze otwartymi usteczkami. Rzęziłeś, brakowało Ci tchu. W twych błyszczących wysoką gorączką oczkach czało się przerażenie. Chciano Cię nam zabrać do szpitala. Nie zdecydowaliśmy się na to. Wiedzieliśmy, że tylko nasza miłość i modlitwa mogą Cię ocalić.

Trzy doby bez przerwy przeleżałeś w naszych ramionach. Nie wolno Ci było zająć poziomej pozycji. Trzy doby ważyły się nasze losy i wszyscy szturmowaliśmy Niebo. Gdy ochrypłym kaszlem rozrywałeś nocną ciszę, dobiegał nas stłumiony szept klęczących w swoich łóżeczkach i modlących się za Ciebie Dzieci. W męce po raz drugi rodziłeś się dla życia. Przyszło wreszcie przesilenie. Ściśnięty oddech. Ze zgrozą zajrzeliśmy sobie w oczy. Ty zasnąłeś, i to było zwycięstwo. Wygrałeś znikomą – jak się dowiedzieliśmy – szansę, lecz w nas chyba już na zawsze pozostanie posiew niepokoju. Długi czas potem zdarzało się nam ukradkiem wsłuchiwać w twój oddech, czy znów się w nim nie odezwą groźne tony. I tak już pewnie pozostanie. My do dziś, Synku, w tajemnicy drżymy o Ciebie.

#### 4. Czy będziecie mnie kochać?

Nie od razu wyszedłeś nam na spotkanie. Oddzielała Cię od nas niewidzialna zasłona, której nikt – poza Tobą – nie był w stanie uchylić. Chowałeś się przed nami w gąszczu swego świata. Pograżony w swej ciszy, leżałeś przed nami zarazem bliski i daleki, zapatrzony w siebie tylko wiadome sprawy, zasluchany w rytm własnego życia.

Usiłowaliśmy Cię zdobyć, nie było to łatwe. Przyjmowałeś nasze posługi, domagałeś się ich nawet. Okazywałeś zadowolenie, kiedy zdołaliśmy Ci dogodzić, ale płaczem ponaglałeś naszą opieszałość. Tak było na zewnątrz. Wewnętrznie byłeś tajemniczy, niedosiężny, zatopiony w sobie. Widocznie nie ufałeś nam jeszcze. Czasem marszczyłeś z wysiłkiem czołko, spoglądałeś na nas uważnie, jakbyś nas chciał wydobyć z otoczenia, lecz nie dawałeś nam poznać, czy dociera do Ciebie nasz głos, czy widzisz uśmiech i słuchasz słów szeptanych Ci cichutko do małego uszka.

Zdecydowałeś się wreszcie. Zerwałeś kryjącą Cię zasłonę i po raz pierwszy świadomie obdarzyłeś nas uśmiechem. Nie zapomnę tego podarunku. Nieśmiały, przepraszającym gestem zaakceptowałeś nas bez reszty. Odałeś się nam cały, na łaskę i niełaskę. Odtąd staliśmy się twoim światem.

Wodziłeś za nami ciemnymi ślepkami. Pilnowałeś, abyśmy Ci nie zniknęli z pola widzenia. Na każde nasze słowo natychmiast odwracałeś głowę. Gdyśmy się do Ciebie zbliżali, ogarniała Cię żywiołowa radość, fikałeś nóżkami, wyrzucałeś ku nam rączki, miotałeś się po łóżeczku, jakby nasza obecność

wlewała w Ciebie siły i splywała życiem. Już nie mogłeś być sam, nie wystarczałeś sobie. Bez nas płakałeś rozpaczliwie i żałośnie, uginałeś się pod ciężarem otoczenia. Byłeś bezradny, zagrożony, osaczony zewnętrznymi wrażeniami, które Cię wprawiały w panikę. Uspokajałeś się dopiero na nasz widok i znów było Ci dobrze, pewnie i bezpiecznie, skoro widziałeś nas przy sobie.

Później stałeś się zachłanny. Przestała Cię zaspokajać nasza obecność. Potrzebowałeś czegoś więcej, nieprzerwanie szukałeś z nami kontaktu. Za wszelką cenę chciałeś ściągnąć naszą uwagę. Wydawałeś więc z siebie niepokojące dźwięki, sapaleś ciężko, jakby Cię dręczyła choroba, robiłeś zabawne minki lub marszczyłeś nosek – żeby nas tylko do siebie przywołać. Skoro osiągnąłeś swój cel, nagle rozplywały się twoje strapienia w szerokim, zadowolonym uśmiechu, bo byliśmy razem. Nie dawałeś sobie bez nas rady, nie umiałeś znaleźć swego miejsca. Staliśmy Ci się potrzebni jak powietrze.

Zamieniłeś się w małego dzikusa. Nie uznawałeś nikogo poza nami. Na widok każdej nowej twarzy reagowałeś płaczem. Trzeba Ci było wziąć na ręce, żebyś niechętnie innym pozwolił się do siebie zbliżyć. Wprawiałeś nas ustawicznie w zakłopotanie. Przez Ciebie chłodziły się nasze stosunki towarzyskie, bo przecież nikt nie lubi spotykać się z wyrazem jawnej dezaprobaty, nawet ze strony takiego, jak Ty, malucha. Podejrzewano zresztą, że jesteśmy z Tobą w zмовie i odzwierciedlasz nasze własne reakcje. Tłumaczyliśmy Cię przed ludźmi, lecz istotnie – na widok nieoczekiwanych znajomych – woleliśmy skrecać w ustronną alejkę parku, żeby się nie narażać na twój „koncert”.

Później trochę się oswoiłeś, ale nadal nad gości przedkładaś ciche życie rodzinne. W zasadzie nie można Ci nic zarzucić. W stosunku do obcych zachowujesz uprzejmą rezerwę. Zdarza Ci się jednak grzecznie pomachać łapką i powiedzieć znienacka do dłużej siedzących gości: „pa, pa!” lub zacząć im cierpliwie tłumaczyć: „dźwi, tam, tam dźwi!”. Nie lubisz się nami dzielić, choć codziennie musisz nas zwalniać do naszych zajęć. To jakoś znosisz, ale gdy już jesteśmy razem, chcesz nas mieć tylko dla siebie.

My jesteśmy źródłem twojej aktywności. Czerpiesz z nas śmiałość i pozytywne nastawienia. Przy nas groźny kontur świata przybiera atrakcyjne kształty i zmienia się w przygodę. Nie my dajemy Tobie. Sam sobie z nas bierziesz to, czego Ci do życia potrzeba. Budzisz się czasem w nocy otoczony tajemniczą ciemnością. Wtedy bezradnie wolasz: „Mamuciu!...Tatuciu!...”. Wystarczy odpowiedzieć: „jestem, jestem”, a już zasypiasz spokojnie, pewny, że Cię nic złego nie spotka.

Ciągle szukasz naszej akceptacji. Żywisz się nią po prostu. Nie lubisz długich pieszczot, za wiele spraw Cię pochłania. Ale w trakcie frapujących wędrówek raz po raz do nas podbiegasz. Przywierasz całym sobą i znowu wracasz do przerwanej zabawy. Ciekawi Cię wszystko. Cały się

wkładasz w spotkanie z każdą nowością, lecz w tle musimy być my. Inaczej wszystko traci powab. Ruszasz na podbój świata, gdy za Tobą kroczą rodzice.

Masz do nas mnóstwo spraw. Tyle chcesz wiedzieć, niestrudzenie pytasz: „a too?”. Sam nie potrafisz przeżywać swoich wrażeń. Kiedy coś wyda Ci się szczególnie interesujące, ciągniesz nas za ręce: „Tata, adź, adź!...” żeby Ci towarzyszyć w odkrywczych doznaniach. Przypisujesz nam zdolność zaradzenia twoim kłopotom, począwszy od popsutej zabawki, aż do skutków nazbyt gwałtownego spotkania ze światem twardych przedmiotów. Wtedy podsuwasz uderzoną rączkę: „Mama, kuku tu!...” – trzeba pocałować, zaraz przestaje boleć.

Gdy się zbliża pora naszego powrotu do domu, jak piesek nasłuchujesz pod drzwiami i cichutko pytasz samego siebie: „Mama? Tata?”. Petem, kiedy oczekiwanie zamienia się w pewność, ogarnia Cię szal radości. To każe nam zostawiać za drzwiami wszystkie smutki. Przecież dana nam jest moc uszczęśliwiania Ciebie.

Małeńki mój!

Dla Ciebie wszystko jest jeszcze łatwe i proste. Nie wyobrażasz sobie nawet, że twoje wyciągnięte łapki mogłyby trafiać w próżnię, uśmiech pozostać bez odpowiedzi, a strwożone nocne wołanie nie docierać do uszu rodziców. To prawda, że igrasz z naszą miłością i nadużywasz jej, że bywasz przy nas zbyt pewny siebie, że chciałbyś ciągle być ośrodkiem zainteresowania. Ale prawdą jest również, że nasza akceptacja jest dla Ciebie najsilniejszym bodźcem do opanowywania coraz to nowych umiejętności i że dla tej akceptacji potrafisz być słowny i wprawdzie z dużym wysiłkiem, niemniej konsekwentnie odmawiasz sobie bliskich kontaktów ze świecącymi na choince bombkami, nie robisz mi „porządków” na biurku i umiesz „spod ziemi” wyszukać moje uporczywie znikające pantofle. A gdy już naprawdę coś przeskrobiesz, nie jesteś w stanie znieść mojej chmurnej miny i żarliwie prosisz: „Tatuciu, nie gniewaj!”. Nasza miłość uspołecznia Cię i przyucza do udziału w życiu zbiorowym. Bardzo lubisz nam „pomagać”. Chcesz uczestniczyć w naszych czynnościach i choć pełno Cię w całym domu, wszędzie jesteś u siebie.

### **5. Czym chata bogata**

Nie wiem czy ktokolwiek poza nami słyszał o ósmym cudzie świata. Zdarzyło nam się kiedyś, jak to bywa w pieszczotliwych pogwarkach, powiedzieć o Tobie: „nasz Cud”. Z pewnością nie rozumiałeś sensu tego określenia, ale spodobała Ci się intonacja. Odtąd ta nazwa przypadła Ci do smaku. Przyjąłeś ją za własną. A ponieważ miewasz jeszcze kłopoty z niektórymi spółgłoskami, więc wprowadziłeś swoje ulepszenia. Zmieniłeś trudne „c” na łatwiejsze „t” i sam o sobie mówisz: „Tud”. Nie peszą Cię zawile arkana



gramatyki. Używasz tylko trzeciej osoby. Brzmi to godnie: „Tud przysed”, „Tuda to jest, to jest Tuda!”.

Nie pozwalasz zapomnieć o sobie. Niech no tylko któreś z nas samotnie zasiądzie do jedzenia lub naleje sobie herbaty, zaraz pytasz z wyrzutem „a Tud?”. Trudna rada, trzeba się z „Tudem” podzielić. Inaczej można posłyszeć: „daj Tudowi, błaga, błaga!”. Temu się już oprzeć niepodobna.

Znajomi pedagogzy kiwiają wymownie głowami: „psujecie Tuda”. Ha, może i psujemy, ale jak takiemu Małuchowi tłumaczyć sprawiedliwość rozdzielczą? Dla niego jest oczywiste, że wszystko, czym dysponują rodzice, jest także jego własnością. Ostatecznie starszy syn też się dowiedział od ojca: „wszystko moje do ciebie należy” (Łk 15,5).

Niemniej „Tud” jest naprawdę zachłanny. Nie w sensie wyłącznego posiadania, ale w poznawaniu świata. Wszystkiego musi dotknąć, wszystkiego spróbować. W każdej swojej wyprawie odkrywa nowe skarby, a już szczytem jego marzeń jest swobodne gospodarowanie w jakiejś szufladzie. Mnogość nieznanych rzeczy przyprawia go o zawrót głowy. Rozbiegane paluszki przebierają po nowych kształtach, docierając do jemu tylko wiadomych walorów, zgoła niedocenianych przez pozbawionych wyobraźni dorosłych. Na przykład pokrywka, zwyczajna, kuchenna, jakież kryje w sobie bogactwo dźwięków!

Wywoływany hałas, gdy zaczynasz w nią walić, wprowadza Cię w stan euforii. Dziecięcy głosik już nie musi się przedzierać przez rolgwar naszych rozmów. Pokrywka załatwia to znakomicie. Momentalnie stajesz się ośrodkiem powszechnego zainteresowania. Prześcigamy się w pomysłach zorganizowania Ci nowej rozrywki, bardziej znośnej dla naszych skolatanych nerwów.

Małeńki mój!

W twoich rozjarzonych ślepkach na pewno uchodzimy za niebywałych potentatów. Tyle mamy różnych rzeczy, które Cię tak pociągają. Dziwisz się tylko, że nie robimy z nich właściwego użytku. O, Ty umiałbyś się nimi zająć!

Przykro mi nieraz, gdy widzę twoje wysiłki z góry skazane na niepowodzenie. Patrzę, jak cichaczem przysuwasz sobie krzesło, żeby się dostać do niedostępnych zakamarków kredensu. A ja – muszę Ci przeszkodzić – skoro tylko zdołasz się na nie z takim trudem wdrapać. Serce mi się kraje na głos twego płaczu, gdy wszystkie twoje tajemne zamysły walą się w gruzy przez naszą interwencję. Jak mam Ci wyjaśnić, że nie mogę zrobić wszystkiego, o co mnie żarliwie prosisz?

Czasem musimy odmawiać twym przelotnym zachciankom, żebyś sobie lub innym nie zrobił krzywdy. Są jednak i takie sytuacje, gdy twoje prawa ogranicza życie, a ściślej warunki, w jakich żyjemy. To jest dla nas bolesne, gdy bezradni – nie możemy dać Ci tego, co potrzebujesz.

Nie dla Ciebie jest słońce w pogodne przedpołudnie. Nie ma Ci kto towarzyszyć na spacerach, gdy jesteśmy w pracy. Nie możesz się do woli wyhasać, bo

ciasne mieszkanie krępuje swobodę twoich ruchów. Nie możemy Ci stosownie urozmaicić pożywienia, bo nasz rodzinny budżet nie jest elastyczny przy twoich rosnących potrzebach. Nie chcesz, tak bardzo nie chcesz się z nami rozstawać, lecz co rano musimy się z Tobą żegnać, idąc do naszych zajęć. Przepadasz za wspólnym oglądaniem obrazków, lecz rzadko możemy sobie na to pozwolić, bo tyle jeszcze czeka na nas innych prac, gdy zmęczeni wracamy do domu.

Choć jesteś jeszcze taki małeńki, posiadasz już trudną sztukę rezygnacji. Nie napierasz się w sprawach, w których sami jesteśmy bezsilni. Czasem tylko cichutko prosisz: „nie idź – zostań z Tudem”, ale sam nie wierzysz, aby te życzenie mogło się spełnić.

## **6. W obronie podstawowych wartości**

Mały, kudłaty Łebku!

Nie masz luksusowej oprawy. Nie chodzisz ubrany jak książętko. Na co dzień donaszasz porcięta po Bracie lub starszych kolegach. Koszulki masz kraciaste, nie pierwszej młodości. Nie widzę, by Ci to w czymkolwiek przeszkadzało lub wpływało ujemnie na dobre samopoczucie.

Umiesz przeżywać czystą radość istnienia rączek prężących się w ciągłym ruchu, paluszków wiecznie gotowych do kontaktu ze światem przedmiotów, nówek – które same Cię niosą gdzie trzeba i gdzie nie trzeba.

Jesteś dotąd samą prawdą. Reagujesz spontanicznie i żywo. Nie znasz zasepionej nudy, nie martwisz się na zapas. Cieszy Cię wszystko. Znalezione patyczki uszczęśliwia Cię tak samo, jak droga zabawka. Nie masz wielkich wymagań. Chcesz być tylko razem z nami i czuć, że Cię kochamy.

Lubisz słuchać o naszej miłości. Nie wiem, co się wtedy z Tobą dzieje, lecz na zewnątrz robisz się poważny. Uciszasz się cały i wsłuchujesz w ton naszego głosu. Wpatrujesz się w nas badawczo, a gdy zdołamy Ci już wymienić wszystkich, którzy Cię kochają, cichutko prosisz: „jesce...jesce mów!”. Nie potrafiłbym Cię okłamać. Za bardzo mi ufasz.

Zaczynasz poznawać wartość rzeczy. Niedawno dostałeś pierwsze nowe buciki, takie efektowne, błyszczące, czerwono-białe. Twój zachwyty nie miał granic. Zaraz okazałeś się w nie przystroić. Chodziłeś po mieszkaniu dumny i wyniosły. Wszyscy musieli podziwiać twoje „bucie”. A potem – choć nikt Ci tego nie podsunął, podbiegłeś do nas znienacka i sam, z własnej potrzeby, ucałowałeś nasze ręce.

Piszę do Ciebie, gdy śpisz spowity nocną ciszą. W sennych wędrówkach ułożyłeś się w poprzek łóżeczka. Zsunęta kołdra odsłoniła małe nóżki strudzone całodziennym bieganiem. Przełożyłem Cię na właściwe miejsce, otuliłem, żeby Ci było ciepło. Zbudziłeś się. Spojrzałeś na mnie przytomnie, uśmiechnąłeś się i wyszeptąłeś sennym głosem: „pilnujesz Tuda?... to do brze”. Znowu mogłeś dalej spać w poczuciu pełnego bezpieczeństwa.

Rzadko chodzimy razem na spacer, bo nigdy nie mam pod dostatkiem czasu, żeby Ci towarzyszyć. Znalazłeś na to radę. Gdy mnie bardziej potrzebujesz, przybiegasz i prosisz: „pochodź z Tudem, błaga, błaga...! A kiedy wstaję od biurka, wkładasz swoją łapkę w moją dłoń i chodzimy razem po mieszkaniu, sami tylko dla siebie, zespoleni w jedną całość ojciec i Syn. Zachodzi pomiędzy nami tajemnicza wymiana. Ja Ci daję siłę i odwagę. Ty mi dajesz ufność i oddanie. Czuję Tobą. Wiem, że wszystko, co Cię spotka, zawsze będzie także moim udziałem, w dobrych i w złych chwilach życia.

Małeńki mój!

Jesteś inspiracją tej pracy. Ukazałeś mi nieskończony cud życia wcielonego w dziecko.

Przywołałeś mnie do swego łóżeczka, jak to codziennie teraz robisz po przebudzeniu. Otworzyłeś przede mną ciemne ślepka i kazałeś mi spojrzeć na świat poprzez Ciebie. Nie żałuję, że posłuchałem twego wezwania. Stałeś mi się światłem, w którym rozbfysły utajone wartości życia. Włączyłeś mnie w odwieczne Ojcostwo. Z nas także poczęła się miłość.

Lękam się tej analogii, uginam pod ciężarem podobieństwa, które mnie nieskończenie przerasta. Bo jeśli ja jestem znakiem Ojca, na zawsze skazany zostałem na miłość.

Do mnie należy inicjatywa kochania. Nigdy nie mogę przestać wierzyć w Ciebie, nigdy nie mogę się przed Tobą zamknąć moje ramiona, bez względu na to, jakim będziesz. Całym sobą stałe muszę Cię wzywać i budzić do pełni życia. Nie mogę przestać być ojcem, choćbyś mnie nie dostrzegął. Nie mogę przestać dawać, nie wolno mi zakreślić granicy moim świadczeniem. Jeśli osłabniesz, musi mnie starczyć za nas oboje. Także wtedy, gdy się już usunę w cień, abyś Ty mógł wzrastać. Skoro raz wybrałem ojcostwo, codziennie je muszę wybierać.

Codziennie Cię rodzę, i wtedy, gdy Ci daję pokarm, i wtedy, kiedy wyzwalam w Tobie błysk zrozumienia i zakorzeniam Cię w otaczającej rzeczywistości. Codziennie odkrywam Cię na nowo i na nowo akceptuję bez zastrzeżeń. Żywisz się mną fizycznie i duchowo i to jest ciągłym źródłem mego zmęczonego szczęścia.

Afirmuję w Tobie nie siebie, nie nas nawet, lecz całe twoje złożone człowieczeństwo.

Nie jesteś takim całkiem układnym chłopczykiem. Jesteś sobą, osobą, bujną indywidualnością. Kryjesz w sobie mnóstwo możliwości. Nigdy nie wiadomo kiedy i z czym wyskoczysz. Czasem zamyślony długie chwile spędzasz na milcząco oglądaniu książeczek, to znów błyskasz jak iskierka i wszędzie Cię pełno.

Ty także próbujesz się już dzielić, jeszcze nie jedzeniem, bo to na razie dla Ciebie za trudne, ale zdarza Ci się wsunąć pod mą koldrę misia, żeby mi się dobrze spało, albo proponujesz mi swój ukochany smoczek.

Nie jesteś naszą maskotką. Chcesz być zawsze traktowany serio. Walczysz o swoje prawa przy zastosowaniu środków podpatrzonych u starszego rodzeństwa. I jeśli wybuchają w domu nagle wrzaski, nigdy nie wiadomo, które spośród Was jest stroną atakującą. Nie doświadczasz kompleksu niższości. Jesteś „kimś”, odgadłeś to spontanicznie. Odkryłeś w sobie własne „chcenie”, upodobałeś sobie tę władzę, próbujesz nią rozrzutnie gospodarzyć. Gdy chcesz czegoś, nie czynisz tego z dystansem mędrca. Cały się w to wkładasz, rozpaczliwie i nieodwracalnie. Niemało z naszej strony trzeba wysiłku, żeby Cię nakłonić do cierpliwości lub rezygnacji.

Bardzo Ci zależy na poważnym uczestnictwie w naszych sprawach. Chcesz być użyteczny, kłopotliwie użyteczny, bo nie bardzo mogą jeszcze zaufać zręczności twoich małych łapek. Porywasz się na sprawy trudne, lubisz, gdy Cię o coś poproszę. Czujesz się wtedy ważny i z przejęciem spełniasz swoją małą misję. Biada, jeśli Cię ktoś spróbuje wyręczyć. Płaczesz wtedy żałośnie, skrzywdzony, niepotrzebny człowieczek, któremu odmówiono zaufania.

Świadomy jesteś własnej godności. Nie chcesz zawieść mego zaufania. Dumny jesteś z każdej pokonanej trudności. Z przejęciem wołasz do mnie rano: „Tatusiu zobac! Tud suchy!”. Uśmiechasz się przy tym z wyrazem nieklamanej satysfakcji, że niby nie takie się już rzeczy robiło. A jeśli mimo wszystko zdarzy Ci się „nieszczęśliwy wypadek”, leżysz cichutko, zakryty po szyję, zawstydzony i smutny, przeżywając własną „hańbę”. Trzeba Cię dopiero utulić, żeby Ci przywrócić utraconą radość poranka.

Metodą prób i błędów odgadujesz swoje miejsce w świecie. Zabawnie to wygląda, gdy staje przede mną mała figurynka, zadziera jasną głowinę i oznajmia z ledwie wyczuwalnym akcentem zapytania: „powiem pciaklew”. Następuje wtedy wykład prawa, a że umysł masz dociekliwy i lubisz eksperymentalnie sprawdzać zdobywane informacje, więc następną sekwencją składa się zazwyczaj z zakazanego słowa i szybkiego klapsa. To Ci na ogół wystarcza i ostatecznie rozwiewa wątpliwości moralne.

Innym razem wkracza w Ciebie duch dawnych zdobywców. Podchodzisz do jedzącego rodzeństwa i lapidarnie oświadczasz: „Marysię buch, Ewę buch, Jankowi kopa, Tud je!”. I znów prawo okazuje się mocniejsze od niewczesnych zamiarów. Mały człowiek zdobywa kolejne doświadczenie życiowe.

Myślę, że jest Ci z nami dobrze. Wiesz, że Cię kochamy różnorodnością naszych temperamentów. Każde z nas w inny sposób jest dla Ciebie atrakcyjne. Z dorosłych bierzesz ciepło i poczucie bezpieczeństwa. Świat Dzieci jest Ci bliższy, bardziej zrozumiały. Wśród rodzeństwa stajesz się partnerem, kolegą, uczestnikiem atrakcyjnych zabaw, a że reakcje wszystkie macie skłżone, więc się szybko uspołeczniczasz. My Ci dajemy ogólną orientację, ale Oni, twój Brat i Siostry, wprowadzają Cię praktycznie w życie. Lubię pa-

trzyć, gdy trzymając się za ręce wyruszącie wspólnie na spacer. Rozumiecie się nad podziw. Choć stale wybuchają między Wami jakieś zatargi, jesteście solidarni. Na zewnątrz występujecie zawsze w jednolitym bloku.

Ufam tej Waszej jedności. Wierzę, że zawsze będziecie się wzajemnie wspierać. Dlatego jestem o Was spokojny.

Cóż więcej mam Ci napisać, Maleńki?

Chyba to, że jesteś dla nas Darem i że przez twoją wśród nas obecność jeszcze bardziej się rozjaśnił cały dom. To prawda, że przybyło pracy, kłopotów i wydatków, że przez Ciebie nasze zmęczenie stało się bardziej zgęszczone, a ilość wolnego czasu zmalała do minimum. Ale prawdą jest także, że przyniosłeś z sobą dla nas nowe siły i stałeś się źródłem nowej, krzepiącej radości. Bez Ciebie byłibyśmy ubożsi, pozbawieni najpiękniejszej przygody. Ty stałeś się dopełnieniem naszej małej wspólnoty. Jesteś dzieckiem nas wszystkich. Każdy Tobie osobiście coś zawdzięcza. Nie żałujemy trudów ponoszonych dla Ciebie. Hojnie je nam wynagradzasz tym, że jesteś z nami.

A kiedyś, gdy już będziesz duży, pomyśl dobrze, czemu masz na drugie imię „Krzysztof”. Może odkryjesz wtedy jeszcze jedną tajemnicę twej wśród nas obecności.

### **7. Dopowiedzenie**

Dziecko jest syntezą ludzkiej miłości. Nie tylko skutkiem, dowodem rzeczowym i znakiem, ale nią samą, ucieleśnioną, uwiecznioną. Dla kochających się osób dziecko jest szansą i Łaską, bo w nim bez przerwy realizuje się ich jedność, niezmienna, zabezpieczona przed wpływem ludzkich słabości i humorów, ciągle żywa, gorąca, twórcza. Cokolwiek ich później spotka, w nim są tacy, jacy powierzyli się sobie do końca. Nic ich nie zdoła rozdzielić. Znamię rodzicielstwa jest niezniszczalne. Nie mogą przestać być rodzicami swego dziecka. W nim zawsze będą do siebie należeć.

### **Jan Kłys – „Letters to my little son”**

The text comes from the author's archival material and is an excerpt from the book carrying the same title. It was prepared in 1967 but was not published then because of censorship regulations. The thoughts expressed in the form of letters to a son are of testimony value.